

# Kapłanka Wisznu



RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

# Kapłanka<sup>1</sup> Wisznu

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

## I

Onego czasu, gdy wstąpi do mojej osoby osiągnął u pewnej liczby czytelników swój świetny punkt kulminacyjny... onego czasu, gdy nazwisko moje pojawiało się tak często w dziennikach przybrane w laurowy wieniec kłąt i wymyślań przebujnych... onego czasu uczulem potrzebę skrycia się w jakiś cichy zakątek, gdzie mógłbym przestać zawadzać ludziom... ba, nawet własnego zapomnieć istnienia.

Posiadam niewielki domek na wsi pod Kalkutą, o kilka mil od miasta, i tam mogę sobie siedzieć spokojnie jak mysz w dziurze. Mieszkańcy miejscowi nie znają mnie prawie, a w każdym razie nie mają o mnie wyrobionej opinii. Wiedzą, że nie jestem zwyczajnym bezmózgim letnikiem ani łowcą przyjemności postronnych, albowiem nie kalam nigdy ciszy nocy wiejskiej hałaśliwością miasta. Nie uważają mnie też za ascetę, bo te drobne fakty z mego życia, jakie pochwytały, świadczą, że mam zamiłowanie do pewnych wygód. Nie biorą mnie za wędrownika czy badacza, gdyż, mimo że jestem z natury włośczęgą, wałęsam się po polach zupełnie bez celu. Nie są nawet pewni, czym kawaler, czyli też żonaty, gdyż nie widzieli mnie nigdy z dziećmi. Nie mogą więc sklasyfikować mnie w żaden sposób, nie mogą stanowczo przydzielić ani do fauny, ani do flory, zostawili dziwaka w spokoju i dobrze mi z tym.

W ostatnim dopiero czasie dowiedziałem się, że istnieje we wsi stwora ludzka, która żywo się mną interesuje. Poznajomiliśmy się pewnego parnego lipcowego popołudnia. Od rana padał deszcz i powietrze mokre było jeszcze i ciężkie od mgły, niby powieki po długim płaczu.

Siedziałem rozleniwiony i patrzyłem bezmyślnie na laciatą krowę pasącą się na przeciwległym brzegu rzeki. Słońce złoćło przecudnie jej mokrą sierść. Przyszło mi na myśl pytanie, czemu ludzie z tak wielkim nakładem kapitału otwierają fabryki ubrań? Przecież pozbawiają się przez to nieźrównanej ozdoby, ukrywając się przed słońcem i jego promieniami.

Zatopiony w tych i innych jeszcze rozważaniach, płynących mi leniwo przez głowę, nie wiedziałem, co się wokół dzieje, zdziwiłem się tedy bardzo, ujrawszy przed sobą kobietę w średnim wieku.

Rzuciła się na kolana i dotknęła czołem podłogi. Miała pouczepiane do odzienia małe bukietki. Odpięła jeden i podała mi w splecionych modlitewnie dłoniach, mówiąc:

— Oto ofiara dla Boga mego!

Potem szybko wstała i wyszła. Słyszac te słowa, uczulem się tak przeleknionym, że zaledwo pobieżnie ogarnąłem ją spojrzeniem i, gdy wyszła, nie wiedziałem doprawdy, jak wygląda.

Całe zdarzenie było bardzo proste, ale pozostawiło mi jakieś dziwne wrażenie, przepełniło mnie jakimś nowym odczuciem faktów. Spojrzałem znowu na laciatą krowę. Młaskając językiem, gryzła soczystą trawę i oganiała się od much. Wydała mi się teraz czymś głębokim i tajemniczym. Czytelnikom pozwalam wybuchnąć zdrowym, głupkowskim śmiechem, ale wyznaję, że serce me wezbrało modlitewnym uwielbieniem. Życie i użycie

Sława

Tajemnica

Pobożność

<sup>1</sup>kapłanka — w wersji ang. *devotee*, tj. gorliwa wyznawczyni, głosicielka. [przypis edytorski]

życia stało mi się adoracją Boga. Zerwałem kilka gałęzi z drzewa mangowego, udałem się na przeciwległy brzeg i podałem krowie wonną, przepojoną rosą strawę. Czyniąc to, miałem wrażenie, że składam ofiarę bogom życia.

W następnym roku (czytelnicy w dalszym ciągu zaszczykali mnie swą pogardą) wróciłem do mego domku. Było jeszcze zimno, jak zawsze pod koniec lutego. Poranne słońce zazierało do mych okien. Byłem mu wdzięczny za dar ciepła. Pisałem właśnie, gdy służący zawiadomił mnie, iż kapłanka Wisznu pragnie ze mną pomówić. Z roztargnieniem powiedziałem: „Niech przyjdzie”, i pisałem dalej.

Przyszła, skłoniła się nisko, dotykając mych stóp, a ja poznałem w niej od razu kobietę widzianą przelotnie w zeszłym roku. Teraz mogłem się jej lepiej przyjrzeć. Przekroczyła już wiek, w którym kobieta może być piękna lub brzydka.

Wysoka, rosła, barczysta, trzymała się nieco pochyło, zapewne skutkiem ciągłych niskich pokłonów. Ale zachowanie jej nie nosiło cechy trwożliwości czy uniżenia. Najbardziej uderzały oczy. Zdało mi się, że mają władzę patrzenia wskroś dali niezmiernej, że zbliżają rzeczy odległe, a obejmują rozproszone szczegóły pobliza.

Gdy weszła i spojrzała, uczułem jakby pchnięcie.

— Cóż to znaczy? — spytała. — Czemuś mnie zawezwał tutaj przed tron twój, o Boże? Widywałam cię zazwyczaj pośród drzew i to było lepsze. Tam winniśmy się byli spotkać.

Zapewne widziała mnie w ogrodzie, a ja jej nie dostrzegłem. W ostatnich dniach cierpiałem na katar i nie wydaląłem się z domu. Składałem hołd zachodzącemu słońcu z tarasu willi. Po krótkim milczeniu powiedziała:

— O, Boże mój, daj mi kilka dobrych słów!

Zaskoczony tym niespodzianym żądaniem odparłem bez namysłu, zupełnie bezwiednie:

— Nie daję słów dobrych ani nie przyjmuję ich. Otwieram tylko oczy i milczę. A wówczas wszystko widzę i słyszę, nawet w zupełnej ciszy. Kiedy na ciebie patrzę, jest tak, jakbym cię słyszał.

Popadła w jakies dziwne wzburzenie, słuchając słów moich i wykrzyknęła:

— Bóg mówi do mnie, nie tylko uszy<sup>2</sup>, ale całym ciałem swoim.

Powiedziałem:

— Gdy milczę, słyszę całym ciałem. Przybyłem umyślnie z Kalkuty, by usłyszeć ten dźwięk.

— Wiem o tym! — odparła żywo. — Dlatego też przyszedłam do ciebie!

Zaczęła mnie żegnać. Pochyliła się nisko i dotknęła rękami stóp moich. Uczułem, że drgnęła nerwowo, spostrzegłszy, iż mam trzewiki. Sądziła że nogi moje są bosc.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyszedłem z pokoju i usiadłem na tarasie płaskiego dachu willi. Poprzez linię drzew od południa widziałem całą okolicę, roztocz pól pustych jeszcze i objętych snem. Słońce wynurzało się po stronie wschodniej z zakrzewia trzciny cukrowej, tuż obok, wpół ukryta w kępie drzew rysowała się wieś. Z gąszczu ciemnego drzew onych wystrzelała z nagła droga, wila się wśród pól, gdzieś ku wsi sąsiedniej, zatracając się na kraju widnokregu we mgle porannej.

Trudno było określić, czy słońce już weszło, czy nie, bowiem ciężki, nieprzejrzysty opar zwisał w koronach drzew. Ujrzałem kapłankę. Szła przez omgle, podobna ciemnemu ruchliwemu punktowi. Domyśliłem się raczej, że to ona. Śpiewała pieśń pochwalną, pobrzękując na cymbałach.

Po jakimś czasie uniosła się mgła czy też opadła i słońce, niby patriarcha wsi, rozsiadło się powyż dachów, poglądając na codzienny skrzący pracy ludzkiej po domach i w polu.

Siedziałem przy biurku, chcąc zaspokoić pożądlwość mego nakładcy w Kalkucie, nagle jednak posłyszałem odgłos kroków na schodach i weszła kapłanka, nucąc z cicha jakąś pieśń. Podniosłem głowę znad papieru.

Powiedziała:

— Boże mój! Wczoraj spożyłam coś niecoś z wieczerzy twej jako święty dar.

Przeraziłem się i spytałem, jak się to stać mogło.

---

<sup>2</sup>uszy — dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

— O — powiedziała — to rzecz prosta! Siedziałeś przy stole, ja zaś stałam u drzwi kuchni. Gdy ci niesiono potrawy, wzięłam kilka kąsków.

Było to dla mnie niezbyt miłą niespodzianką, gdyż wszyscy w całej wsi wiedzieli, że byłem w Europie i jadałem z Europejczykami. Nie porzuciłem oczywiście jarstwa<sup>3</sup>, ale prawowierności mego kucharza nie należało poddawać zbyt bystrej analizie, a ortodoksi uważali potrawy me wprost za nieczyste.

Spostrzegłszy me zdziwienie i niepokój, rzekła:

— Boże mój! Po cóż przychodziłabym do ciebie, gdybym nie mogła jeść stawy twojej?

Spytałem, co na to mówią ludzie jej własnej kasty. Oświadczyła, że sama rozniosła wieść po całej wsi, a nawet sąsiednich. Ludzie pobożni zrazu trzęśli głowami, ale potem przyznali, że tak czynić powinna, gdyż to jest jej droga życia.

Dowiedziałem się, że pochodzi z dobrej rodziny, że matka jej była zamożna i chciała, by córka pozostała w domu. Ale ona sama obrała dolę żebraczki. Spytałem, w jaki sposób żyje i czy coś posiada.

Opowiedziała mi wszystko. Rodzina dała jej kawał pola, ale ona woli żebrać o strawę od drzwi do drzwi.

— Chleb użebrany to boski dar! — rzekła.

Podumałem chwilę nad jej słowami i zrozumiałem, co miała na myśli. Gdy otrzymamy kawałek chleba od bliźnich jako jałmużnę, zwracamy myśl naszą ku Bogu, dawcy wszystkiego. Jeżeli natomiast jedzenie dostaje nam się z domu, codziennie i regularnie, zatracamy tę świadomość i przepajamy się urojeniem, jakoby to była rzecz naturalna, jakoby to było naszym prawem.

Miałem wielką ochotę zapytać o jej męża, ale nie uczyniłem tego, albowiem sama dotąd nie wspominała o tym nawet pośrednio.

Przekonałem się rychło, że kapłanka niewielki czuła respekt dla owej części wsi, gdzie mieszkali ludzie kast wyższych.

— Nigdy nie dadzą nic ku chwale Boga, mimo że posiadają największy udział w jego darach. Biedni natomiast chwalą Boga, żyją przykładnie i tak też umierają.

Spytałem, dlaczego nie idzie do owych bezbożnych ludzi i nie stara się nawrócić ich na dobrą drogę?

— Byłaby to najwyższa forma służenia Bogu! — dodałem z uroczystym namaszczeniem.

Sam słyszałem od czasu do czasu tego rodzaju nauki i uważałem zawsze za wskazane powtarzać je ku zbudowaniu słuchaczy.

Ale słowa moje niewielkie uczyniły wrażenie na kobiecie. Podniosła na mnie wielkie okrągłe oczy i rzekła:

— Powiadasz tak: Bóg jest z grzesznikami, przeto jeśli im uczynisz coś dobrego, czynisz dobrze Bogu? Czy to myślałeś?

— Tak... to właśnie chciałem powiedzieć.

— Rozumiem! — odparła niemal porywczo. — Rozumiem... Bóg jest niewątpliwie z grzesznikami, jakżeby inaczej zresztą mogli żyć! Ale to dla mnie jest niczym... mego Boga tam nie ma! Mego Boga pośród grzeszników czcić nie mogę, gdyż go tam nie znajduję. Szukam go tam, gdzie wiem, iż jest!

Mówiąc to, skłoniła się przede mną głęboko. Wiedziałem, co miała na myśli, oto sama nauka o wszechobecności Boga nie zda się na nic. Prawda, iż Bóg przenika wszystko stworzenie, ale jest abstrakcją i dlatego oddziaływać na nas nie może. Nie czujemy jej sercem. Natomiast istność Boga odczuta we własnej duszy to jest dopiero prawdziwa rzecz żywa.

Nie wiem, czy mam objaśniać czytelnikom, że hołd, jaki mi oddawała, nie odnosił się wcale do mnie. Nie mam prawa zbyt wysoko stawiać mych czytelników, przeto powiem wyraźnie: kapłanka, zasypując moją osobę oznakami czci, zgoła nie uwzględniła przy tym mej indywidualności ludzkiej. Byłem jej tylko narzędziem czci Boga, czymś w rodzaju żywego ołtarza. Toteż zgoła nie było moją rzeczą przyjmować hołdy czy je odrzucać. Nie składał ich nikt mnie, jeno samemu Bogu. Teraz, zdaje mi się, drodzy państwo, znacie pierwszą literę alfabetu... a może i nie znacie jej...

<sup>3</sup>jarstwo (daw.) — wegetarianizm. [przypis edytorski]

Gdy kapłanka znów się pojawiła, byłem zagłębiony jak zawsze w pisaniu.

— Biedaku! — rzekła mi. — Cóż za straszne popełniłeś zbrodnie, że Bóg mój obarczył cię takim brzemieniem pokuty. Ile razy przyjdę, zawsze piszesz lub czytasz.

— Bóg łaskawy jest i daje swym dzieciom, które na nic się przydać nie mogą, zajęcie, gdyż inaczej wkroczyłyby na ścieżkę grzechu. Muszą one czynić różne zgoła niepotrzebne rzeczy, które chronią je od złego.

Tak jej powiedziałem, a kapłanka oświadczyła, że znieść nie może owych zapór, jakie mnie od niej ciągle przedzielają. Ile razy chce mnie widzieć, musi przełamywać opór służby, która nie pozwala jej iść wprost do mej pracowni. Ile razy chce dotknąć nabożnie stóp moich, zawsze natrafia na trzewiki, a kiedy ze mną rozmawiać pragnie, dusza ma błąka się wśród dzikiego ostępu wykształcenia.

Nim odeszła, złożyła ręce i powiedziała:

— Boże mój! Dziś rano czułam nogi twe w piersiach moich. O, jakże były chłodne! I nie miały na sobie trzewików, ale były bose, jak przystało. Długo trzymałam je w nabożnym skupieniu na głowie mojej. Odczułam swą prawdziwą istotę. Toteż nie było już po tym po co przychodzić do ciebie. Ale wpadło mi do głowy, że może to było jeno złudzenie, dlatego przybyłam.

Na stole stał wazon z kwiatami. Podczas jej obecności ogrodnik przyniósł świeże kwiaty, a zabrał zwiędłe. Kapłanka patrzyła na to, co czynił, i nagle spytała:

— I to ma być koniec? Chcesz wyrzucić te kwiaty? Daj mi je lepiej!

Wzięła kwiaty w dłonie złożone w kształt czary, a dzierżąc je z wielką troskliwością, pochyliła głowę i wpatrywała się w nadwędłe rośliny. Po chwili podniosła oczy i powiedziała:

— Kwiaty twe więdną, gdyż nigdy na nie nie patrzysz. Gdybyś spozierał na nie często, rzuciłbyś niebawem całą swoją pisaninę i książki.

Zawinęła bukiet w skraj sukni, położyła go sobie na głowie gestem nabożnej czci i powiedziała z szacunkiem:

— Pozwól, bym zabrała Boga mego z sobą.

Patrząc na to, co czyni, uświadomiłem sobie, że kwiaty w mieszkaniach naszych nie doznają należytej sobie pieczy. Za mało je kochamy i niemal nie patrzymy na nie. Wkładamy je do wazonów i tkwią w nich niby grupa nieposłusznych uczniów stojących rzędem w ławce, czekających wymiaru kary.

Kapłanka przysłała tegoż jeszcze wieczoru i usiadła u stóp moich, na płaskim tarasie dachu.

Mówiła:

— Rozdałam ludziom kwiaty. Chodząc od drzwi do drzwi dawałam każdemu po trochu i śpiewałam ku chwale Boga. Beni, naczelnik wsi naszej, śmiał się ze mnie i z mojego szacunku dla ciebie. Powiedział: „Czemuż marnujesz dlań tyle hołdów? Czyż nie wiesz, że w całej okolicy wszyscy go lają i źle mają o nim wyobrażenie!”. Czy to prawda, Boże mój? Czy naprawdę są oni niedobrzy dla ciebie?

Zadrżałem całym ciałem. Przeraziłem się naprawdę. Więc plama farby drukarskiej może przybrać tak ogromne rozmiary?

Kapłanka ciągnęła dalej:

— Beni ubzdurał sobie, że może jednym dmuchnięciem zagasić płomyk mej czci. Ale to nie mały płomyk, to wielkie, potężne ognisko. Powiedz mi, o Boże mój, czemu oni bluźnią tobie?

Odrzekłem:

— Zasluguję na to. Z wielką żądzą rozglądam się wokoło i czyham na ludzkie serca, by je skraść.

— Sam widzisz dobrze — powiedziała — jak mało warte są te serca. Pełne trucizny! To powinno cię uleczyć z twej żądz.

— Człowiek, w którego duszy zapanowała żądza, ciągle jest wystawiony na możliwość poniesienia klęski. Żądza owa sama dostarcza zabójczej trucizny wrogom jego!

Tak rzekłem, ale kapłanka pospieszyła z odpowiedzią:

— Bóg jest miłosierny. Biję nas własną dłonią naszą i wypędza z serc naszych truciznę. Kto zdierży wytrzymać cierpliwie uderzenia Boga, będzie uratowany!

Chciwość, Pożądanie,  
Klęska, Miłosierdzie

## II

Onego wieczoru opowiedziała mi historię swego życia. Gwiazdy wschodziły, zachodziły, jawiły się nowe, a ona opowiadała wszystko, aż do końca:

— Mąż mój był człowiekiem prostym. Ludzie uważali go nawet za głuptaka, ale ja wiem: ci, którzy czują i myślą po prostu, patrzą samej prawdzie w oblicze. Zawiadywał on doskonale domem i prowadził interesy jak należy. Potrzeby jego zawsze były małe, pragnień dalekich nie żywił nigdy, przeto gospodarował oszczędnie i był zadowolony z tego, co posiadał. Nie mieszał się w sprawy innych ani też nie starał się zrozumieć czynów ani pożądań bliźnich swych.

Rodzice męża mego zmarli jeszcze przed naszymi zaślubinami i zostaliśmy sami na świecie. Wstyd mi wyznać, ale mąż mój zawsze czuł dla mnie pewien rodzaj czci i uznawał mnie za istotę wyższą od siebie samego. Ja zaś pewna jestem, że głębiej niż ja wnikał w istotę rzeczy, mimo że ja umiałam się lepiej wysłowić.

Najwyższy szacunek, jakim można obdarzyć ludzką istotę, żywił mąż mój dla swego Guru-Thakura (duchowego przewodnika), i to nie tylko szacunek, ale nawet miłość. A miłość taka, do jakiej zdolny był mąż mój, nieczęsto jawi się na świecie.

Guru-Thakur był młodszy od mego męża. O, jakże był piękny!

Mąż bawił się z nim w latach chłopięcych i od tego czasu oddał się duszą i ciałem przyjacielowi młodości. Guru-Thakur wiedział, jak prostodusznym jest mąż mój, przeto stroił zeń żarciki, dokuczał mu po trochu i wykpiwał go.

Czynili to także inni towarzysze zabaw i bawili się doskonale. Ale mąż znosił wszystko z niewysłowioną cierpliwością.

W czasie kiedy weszłam w progi męża jako żona jego, Guru-Thakur bawił w Benares, gdzie pobierał nauki. Mąż mój pokrywał wszystkie koszta. Miałam lat osiemnaście, gdy Guru-Thakur wrócił do naszej wioski.

W piętnastym roku życia zostałam matką. Ale byłam za młoda, nie umiałam pielęgnować dziecka. Lubiałam pogawkę z sąsiadkami i często całymi godzinami paplałam po ulicach, a nawet wpadałam w złość wielką, ile razy dziecko zmuszało mnie do pozostania w domu, by się nim zaopiekować.

Ach, mój Bóg-dziecko zjawił się na ścieżce życia mego, ale zabawki nie były dlań przygotowane. Zapukał do serca matki, nie otwarło się... milczało. Odszedł tedy ode mnie zagniewany, a ja od tej pory szukam mego Boga po całym świecie, wałęsając się boleśnie.

Malec stał się radością życia ojca swego. Mąż cierpiał bardzo z powodu mojej beztroskiej lekkomyślności. Ale dusza jego była cicha i nie umiał wysłowić bólu swego.

Dziwna rzecz, ale mimo iż zaniedbywałam dziecko ciągle, malec kochał mnie jak nikogo na świecie. Wydawało się, iż ciągle się boi, że go opuszczę i pójdę gdzieś daleko. Nawet wówczas, gdym była przy nim, co chwila spoglądał na mnie, ustawicznie śledził spojrzeniem każdy mój ruch. Może dlatego właśnie, że nieczęsto widywał mnie, w tak gwałtowny sposób objawiał pragnienie przebywania w moim pobliżu.

Ile razy udawałam się nad rzekę, a czyniłam to codziennie, stawał się niespokojny, wyciągał swe drobne rączyny i wołał, by go zabrać z sobą. Ale kąpiel była dla mnie wielką uciechą, nad rzeką spotykałam się z przyjaciółkami, toteż za nic w świecie nie chciałam się obarczać dzieckiem.

Był wczesny ranek sierpniowy. Przez cały dzień poprzedni zwiślały na całym niebie ciężkie, mokre chmury. Kazałam służącej uważać na malca, a sama udałam się do kąpieli. Dzieciak płakał, widząc, że odchodzę, ale nie zwracałam na to uwagi. Nie zastałam nikogo jeszcze nad rzeką. Byłam najlepszą pływaczką w całej wsi. Rzeka silnie wezbrała skutkiem ciągłych deszczów. Wypłynęłam daleko, aż na sam środek, na znaczną odległość od brzegu.

Naraz posłyszałam wołanie: „Mamo! mamo!”. Obróciłam głowę i ujrzałam mego malca. Biegł pospiesznie ku wodzie i wołał mnie ciągle. Krzyknęłam, by zaczekał, ale on biegł dalej, śmiejąc się i pokrzykując.

Nogi i ręce zesztyniały mi z przerażenia. Zamknęłam mimo woli oczy, by nie widzieć, co się stanie. Gdym otwarła powieki, wołanie i śmiech mego malca zamilkły na zawsze.

Matka, Miłość niespełniona

Przypłynęłam do brzegu, wyłowiłam z wody ciało uniesione prądem o znaczny kawał w dół i wzięłam w ramiona mego drogiego malca, który mnie tyle razy prosił daremnie, bym go z sobą zabrała. Zabrałam go teraz, ale nie patrzył mi już w oczy i nie wołał: „Mamo!”.

Zjawił mi się Bóg w postaci dziecka. Ale zaniedbałam go. Płakał ciągle z mej winy. Teraz wszystkie owe grzechy zwały się na moją duszę straszliwym brzemieniem. Gdy malec mój był ze mną, zostawiałam go samego. Kiedy zmarł, wspomnienie jego uczepiło się mnie, otoczyło niby ciężki łańcuch i kajdan owych zrzucić nie zdołam już nigdy.

Bóg sam jeden wie, ile wycierpiał mąż mój. Ach, czemuż nie ukarał mnie za zbrodnię okropną? Byłoby lepiej dla nas obojga. On jednak umiał jeno trwać w cichym bólu i znosić ciosy z przerażającą cierpliwością świętego.

Szalałam z rozpaczy, gdy wrócił do wsi Guru-Thakur. Dawniej łączył z nim męża mego stosunek młodocianej przyjaźni i miłości. Teraz cześć, jaką mąż zaczął mu okazywać, nie miała wprost granic. Nie śmiał w jego obecności przemówić słowa, nie śmiał, zda się, odetchnąć przejęty uwielbieniem dla świętobliwości i wiedzy Guru-Thakura.

Uprosił znakomitego męża, by mi dodał nieco otuchy i wlał trochę pociechy w duszę. Guru-Thakur począł mi czytać i objaśniać święte księgi. Ale nie wywierały one na mnie żadnego większego wrażenia. Cała wartość ich leżała dla mnie w głosie nauczyciela, który chwyciłam chciwie. Bóg używa melodii głosu ludzkiego za środek przepojenia duszy cudnym napojem zaziemskiej prawdy. Nie posiada nic lepszego i sam pije z tej samej czary... tak mówi Pismo.

Miłość i cześć męża dla Guru-Thakura, niby obłok kadzidlany, napełniła dom nasz świątynnym aromatem. Okazywałam mu tę samą cześć i uzyskałam spokój. Widziałam teraz Boga mego w jego postaci. Przychodził każdego ranka i zostawał na obiedzie. Pierwszą moją myślą, gdym wstała, było przyrządzenie dlań posiłku, który wydawał mi się niebiańskim darem Boga. Palce moje śpiewały, krzątając się koło potraw, jakie dlań obmyślałam.

Kiedy mąż zauważył, jaką cześć powzięłam dla naszego mistrza, szacunek jego dla mnie zwiększył się jeszcze. Przy tym Guru ze swej strony objawiał coraz większy zapał w objaśnianiu mi świętych ksiąg. Tedy mąż nabrał przekonania, że, sam będąc niepodatnym z powodu swej naiwności do wyższej duchowej wiedzy, zdoła osiągnąć dla mnie wtajemniczenie w wielkie prawdy boskie.

Minęło pięć lat w ciszy i nauce, a całe dalsze długie życie moje mogłoby się było tak przesnuć. Atoli pod powierzchnią, w niedostrzegalnej głębi, działo się coś tajemnego. Nie mogłam tego odkryć. Odkrył to Bóg mego serca. Nadszedł dzień, w którym całe życie nasze przewróciło się, niby rola pod lemieszem pługa losu, i wyszło na wierzch, co było ukryte na dnie.

Był skwarny letni ranek. Wyszedszy po kąpeli z wody, szłam w mokrych sukniach ku domowi cienistą aleją. Na skrócie drogi pod drzewem mangowym spotkałam Guru-Thakura. Szedł do kąpeli z ręcznikiem przewieszonym przez ramię i deklamował sanskryckie wiersze. Szaty przepojone wodą przyłgnęły mi ściśle do ciała, czując się tedy naga, nie śmiałam mu się pokazywać na oczy i usiłowałam przemknąć niepostrzeżenie zaroślami. Ale spostrzegł mnie i zawołał po imieniu.

Stanęłam, drżąc cała, spuściłam oczy i czułam, że lecę w jakąś przepaść. Skierował na mnie oczy i rzekł po chwili: „O jakże piękne jest ciało twoje!”.

Wydało mi się, że ponad głową moją rozbrzmiał chór ptaszęcych głosów w koronie manga skrytych. Wszystkie krzaki brzeżące drogę rozplomieniły się żarem purpurowego kwicia. Niebo i ziemia, i wszystko wokół zawiroowało w jakimś szaleńczym tanie wesela.

Nie wiem, jak doszłam do domu. Wiem tylko, że wpadłam do komnaty, gdzie oddajemy cześć Bogu. Ale pustkę znalazłam, pustkę niezmierną. Nie było się do kogo modlić. Patrzyłam przerażona, a przed oczyma latały mi krążki świetlne, jakie siały się poprzez gałęzie drzew w onej alei, kędy wracałam z kąpeli.

Guru-Thakur przybył dnia tego jak zawsze przed obiadem i pytał męża, gdzie jestem. Szukał mnie wszędzie, ale nie mógł znaleźć.

Ziemia mi się odmieniła pod nogami, niebo nad głową, słońce przybrało dziwne... dziwne oblicze! Wzywałam w przestrachu Boga mego... ale odwrócił się ode mnie.

Nie wiem, jak minął ów dzień. Wiedziałam, że muszę w nocy spotkać się z mężem. Ale noc ciemna i cicha to czas, kiedy dusza męża mego wynurza się z oświetła dziennego i wstępuje na czarne niebo jak gwiazda. Słyszałam nieraz słowa, które zdumiewały mnie głębią swoją, potęgą wiedzy i poznania.

Nieraz zajęta pracą późno wracałam do sypialni. Zawsze mąż czekał na mnie, siedząc na ziemi i rozmawialiśmy przez chwilę, nawiązując zazwyczaj do ostatnich nauk Guru-Thakura.

Gdy tej nocy weszła do komnaty — nieco po północy — ujrzałam, że śpi, leżąc na podłodze. Nie budząc go, położyłam się cicho, zwrócona twarzą do stóp jego. Po jakimś czasie uczułam kopnięcie nogą w piersi. To był wyrok.

Gdy nazajutrz zbudził się mąż, siedziałam przy nim. Pierwszy przebrzask świtu, siejąc się poprzez gęstwę stojącego wprost okna chlebowego drzewa, okrył szafirową posową wnętrze sypialni. Było tak wcześnie, że wrony spały w gniazdach, nie rozpoczynając krakania.

Pochyliłam się do jego stóp i dotknęłam ich czołem. Usiadł osmutniały, jakby żałował marzenia sennego, które uleciało wraz z przebudzeniem, i spojrział niepewnym wzrokiem w mą twarz.

Zaczęłam mówić:

„Powzięłam postanowienie. Muszę porzucić świat. Nie mogę być dłużej twoją. Muszę iść precz z twego domu!”

Zdawało mu się zapewne, że śni jeszcze, gdyż nie wyrzekł słowa.

„Wysłuchaj mnie!” — błagałam. — „Zrozum mnie! Pojmij inną żonę! Muszę iść... iść... gdzie oczy poniosą!”

Nareszcie przemówił:

„Nie rozumiem tej gadaniny. To jakieś szaleństwo! Któż ci kazał porzucać świat?”

„Guru-Thakur!” — odparłam.

Zmieszał się bardzo.

„Guru-Thakur!” — krzyknął. — „Kiedyż to udzielił ci tej rady?”

„Wczoraj rano, gdy wracała z kąpeli”.

„Czemuż to udzielił ci owej rady?” — spytał, a głos jego drżał z lekka. Mówił, patrząc na mnie z uwagą.

„Nie wiem!” — odparłam. — „Spytaj go! Zapewne powie ci, jeśli sam wie”.

Mąż odparł:

„Można porzucić świat, nie przestając żyć na nim dalej. Nie masz potrzeby opuszczać domu. Od tej godziny świat i dla mnie istnieć przestał”.

Zamilkł. Siedzieliśmy oboje bez słowa na ziemi w półmroku. Gdy się rozwidniło, powiedział:

„Udamy się razem do niego!”

Złożyłam ręce i powiedziałam:

„Nie ujrę go już nigdy w życiu!”

Spojrzał mi w twarz. Spuściłam oczy. On nie rzekł ni słowa. Wiedziałam, że zapuścił spojrzenie w głąb mej istoty i wie, co się tam dzieje...

W tym doczesnym życiu miałam tylko dwie istoty, które mnie kochały naprawdę — syna i męża. Miłość ta była Bogiem moim i dlatego nie mogła cierpieć fałszu. Jedna z tych istot opuściła mnie, drugą porzuciłam sama... Teraz mogę posiadać jeno prawdę... prawdę samą... nic mi nie pozostało...

Dotknęła czołem ziemi przed stopami moimi, wstała, pochyliła się nisko i wyszła.



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-kaplanka-wisznu>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, *Głodne kamienie i inne opowiadania*, tłum. Jerzy Bandrowski, Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.